

## HISTORIA JAKO TEOLOGIA

Kiedy odwraca się karta wieku, człowiek spogląda na ogół wstecz, aby podsumować, chociażby tylko bardzo ogólnie, czas miniony. Pośród gmatwaniny wydarzeń, nie powiązanych na pozór ze sobą klęsk i osiągnięć, stara się odkryć problemy kluczowe, zasadnicze osie, wokół których poruszały się konkretne, bardziej decydujące wydarzenia, jakie naznaczyły minioną epokę. Za tym zaś zamiarem kryje się nieprzezwyrodnalne wprost pragnienie odkrycia sensu, które przenika serce człowieka i skłania go do wyjaśniania jego zbiorowej historii jako procesu zrozumiałego, zawierającego w sobie jakąś własną logikę. Pozwala nam ją odkryć bardzo szybkie nawet spojrzenie, jakby z lotu ptaka szybującego ponad minionymi latami.

Nawet w naszej postmodernistycznej kulturze, która z dumą ogłasza kres dziejów i pragnie żyć wyłącznie teraźniejszością, wyniośle i bez wylania choćby jednej łzy wrzucając do wielkiego kubła śmieci tradycyjne przekonania odziedziczone po przodkach, trudno jest się oprzeć pragnieniu dotarcia do tych głębokich złóż i pokładów, które stały się podłożem tak ważnych nurtów historycznych. A to bądź dla uzasadnienia swej własnej teraźniejszości, bądź w celu zaprojektowania najbliższej przyszłości.

Kiedy zaś to, co się kończy, jest ni mniej, ni więcej tylko całym tysiącleciem, sprawa jeszcze bardziej się komplikuje. Albowiem do tego, co powiedzieliśmy przed chwilą, dochodzi jeszcze konieczność objęcia myślą i wzrokiem całego tysiąca lat, czyli coś w rodzaju spojrzenia typowo apokaliptycznego, zawierającego w sobie nie tylko oczekiwanie nowości, ale także całkowite zerwanie z przeszłością. Nasze szczególne doświadczenie czasu i nasza zdolność do subiektywnego przeżywania go, kiedy nadaje mu się taką czy inną konkretną formę, zdają się wymagać od nas, abyśmy dochodząc do określonej daty, zamykali ten konkretny okres, jakim jest na przykład milenium, jako pewien cykl historyczny, jak gdyby wymagał on od nas zerwania z przeszłością i rozpoczęcia czegoś absolutnie nowego, oczekując zarazem całkowitej zmiany kursu, a więc zupełnie nowej perspektywy. To właśnie się zawiera, koniec końców, w pojęciu „milenaryzmu”

Jak wiadomo, historycznie rzecz biorąc, zjawisko to jest wyjaśnieniem pochodzenia chrześcijańskiego, opartym na dosłownym odczytaniu *Apokalipsy* (20, 1-10), mającym wielu znanych przedstawicieli, jak choćby Joachim de Fiore, chociaż jego korzenie są o wiele głębsze i rozciągają się na wspólną niewiedzę lub nieświadomość.

W rzeczy samej nawet nasza zsekularyzowana kultura nie umie się wydobyć spod wpływu tego podziemnego nurtu, który się pojawiał w pełnej krasie w przełomowych momentach dziejów. Wystarczy przypomnieć godne ubolewania zbiorowe samobójstwo sekty „Świątynia Słońca”, oczekiwania na bezpośredni koniec świata, typowe dla niektórych kręgów kulturowych Europy Zachodniej, zbiorową histerię, jaka opanowała przed dwoma czy trzema laty środowiska związane z komputerami w obawie przed rokiem 2000, kiedy to pojawiały się wypowiedzi typowo apokaliptyczne i katastroficzne, a także niejasne oczekiwania rozwijane przez ruch *New Age* wraz z jego prorocstwem dotyczącym nowej ery Wodnika, będącej w istocie jak najbardziej normalną zmianą w funkcjonowaniu naszego systemu słonecznego.

Co oznacza to wszystko dla wiary chrześcijańskiej? Czy ma dla niej jakieś znaczenie przejście, całkowicie przecież normalne, od jednej daty do innej? Czy milenaryzm odpowiada wewnętrznej logice naszej wiary?

Musimy wyjść, chcąc odpowiedzieć na te pytania, z faktu zasadniczego: chrześcijaństwo i teologia bardzo interesują się historią. Chociaż nasza wiara zawiera doktrynę i całą serię prawd, które uchodzą za jasne i powszechne, ale przekraczają zarazem wymiar historyczny, to nie wolno nam zapominać o tym, że sama wiara *rodzi się z wydarzenia* konkretnego, udokumentowanego, odnotowanego w dziejach: Jezusa z Nazaretu! Nasza wiara *żyje* także *obietnicą*, *Paruzją*, która kieruje strzałę czasu w przyszłość i przemienia teraźniejsze stawanie się nie w zwyczajne następstwo wydarzeń i powtarzanie wciąż tego samego, lecz w oczekiwanie i wzrost — w poszukiwaniu dróg prowadzących i zapoczątkowujących już oczekiwaną metę. Wiara *żywi się przeświadczeniem*: Boża Opatrzność kieruje krokami ludzkości aż do jej wypełnienia. Skoro zaś Boże działanie jest bardzo subtelne, szanuje autonomię doczesności, skoro nie niweczy ani nie ignoruje ludzkich inicjatyw, ale wędruje pośród nich w sposób bardzo uniżony i pokorny, starając się przeobrazić je od środka, winniśmy przeto dokładać trudu, aby rozpoznawać pośród ludzkich wydarzeń wezwania i propozycje Boże.

Jak stwierdza Jan Paweł II, „w rzeczywistości bowiem w wydarzeniach historycznych często ukryte jest Boże wezwanie do działania zgodnego z Jego zamiarami przez żywy i owocny udział w sprawach naszych czasów”<sup>1</sup>. Chodzi głównie o to, co Sobór Watykański II określił jako rozpoznawanie znaków czasu<sup>2</sup> i co było stałym doświadczeniem wiary chrześcijańskiej, poczynając od naszych przaprzodków, albowiem już Izrael odznaczał się zawsze rozpamiętywaniem własnej historii nie tylko w celu lepszego zrozumienia chwili obecnej, ale głównie z myślą o odkryciu woli Boga; także Jezus wymagał od uczniów i ludzi sobie współczesnych takiej właśnie postawy, ganiąc ich za nieumiejętność dostrzegania w znakach, jakie czynił, nadejścia królestwa Bożego (por. Mt 16, 2n).

Z drugiej strony nasza własna część odpowiedzialności za rozpowszechnianie królestwa Bożego wymaga od nas również zachowywania postawy wartownika, który wypatruje z daleka drogi, jaką Bóg nam wyznacza, i wyzwania, jakie stawia przed nami realizowanie się dziejów ludzkich, albowiem jeśli nawet znamy koniec taśmy filmowej, a tym samym uczestniczymy już uprzednio w kresie historii, to przecież nie znamy dokładnie czasu ani dróg, chociaż jesteśmy świadomi tego, iż od naszej odpowiedzi zależy przyspieszenie, opóźnienie, a także zboczenie z drogi wiodącej do królestwa Bożego. Tymczasem nasza odpowiedzialność domaga się od nas wyboru właściwej drogi.

W istocie oznacza to, że jesteśmy zanurzeni w historii zbawienia, w której rosną obok siebie kłkol i pszenica, przy czym nie do nas należy zniwo, lecz jedynie obowiązek odróżniania, aby kroczyć dokładnie za Bożymi inicjatywami.

W odniesieniu do przyszłości, podobnie zresztą jak do przeszłości, przypomniałem już istotny fakt: wyprzedził nas kres dziejów, historii! Albowiem w Jezusie Chrystusie, zwłaszcza w Jego tajemnicy paschalnej, w Jego śmierci i zmartwychwstaniu, nie tylko otworzyła się dla ludzkości przyszłość przekraczająca cień śmierci, ale zapoczątkowany został także kres czasów — i to właśnie stanowi element determinujący właściwe odczytanie historii. Skoro myślimy i mówimy po chrześcijańsku, niewłaściwe byłoby uleganie jakimkolwiek wątpliwościom lub niepewnościom co do przyszłości naszego świata. Powinniśmy jedynie ufać racjonalnie. To zaś nie wyklucza dwuznaczności, ani tym bardziej trudu rozoznawania.

<sup>1</sup> Adhortacja apostolska *Vita consecrata*, 73.

<sup>2</sup> Por. KDK 4.

Nie wyklucza dwuznaczności, gdyż ta podstawowa pewność mogłaby niekiedy sprzyjać postawie zanadto pasywnej. Świadomość tego, że przyszłość leży w rękach Boga, może wywoływać w nas pokusę łagodzenia napięcia, rozleniwiać w osiągniętych już rezultatach i prowadzić do spokojnego oczekiwania, jak gdyby wszystko było jedynie kwestią czasu. A to tym bardziej dlatego, że kroczenie za Jezusem utożsamia się na ogół z proszeniem Go o to, by wziął On na siebie i dźwigał za nas nas samych i nasze sprawy. Z drugiej zaś strony istnienie dystansu pomiędzy zamierzonym ideałem a rzeczywistością nas otaczającą może rodzić napięcie połączone z chęcią przyśpieszenia czasu oraz pragnienie jakiejś decydującej interwencji Boga, która zakończyłaby się ostatecznym wprowadzeniem dróg ludzkich na linię Bożego królowania. I tutaj właśnie tkwi sam korzeń „milenaryzmów”: i to zarówno w wersji katastroficzno-apokaliptycznej (ze wszystkimi zapowiedziami rychłych kar, masowych zniszczeń itd.), jak też w wersji — by wyrazić to w sposób bardziej rodzajowy — „hermeneutycznej”, która stara się odkryć w następstwie wydarzeń historycznych rys zakładanego globalnego programu Bożego, który doprowadzi już szybko do nadejścia wymarzonej „złotej ery” wiary.

O ile pierwsza postawa jest bezwzględnie niegodziwa, albowiem zamyka nas na Boże nowości, i wystarczyłoby jedno tylko spojrzenie na proroków i ich ostrą krytykę druzgocącą nastawienie niektórych królów izraelskich, aby zrozumieć błąd, jaki ona reprezentuje, to dwie pozostałe są również błędne, ale bardziej zrozumiałe. Chorują one jednak na pewien brak strukturalny. Kościół, który jest ciałem Chrystusa, powinien zawsze spoglądać na wzór Jezusa i Jego drogę życiową. Tymczasem ani wcielenie Boga, ani Jego tajemnica paschalna, nie ukierunkowują nas na ten styl niszczącego działania Bożego. W historii zbawienia Bóg zawsze się liczył ze współpracą człowieka, poczynając od Abrahama aż po świętych naszego czasu. To wokół nich i ich wierności sobie i Bogu rodzą się te nurty życiowe, które nas przybliżają do królestwa.

Jeżeli jednak analizuje się przeszłość, to czyni się to przeważnie z myślą o przyszłości, a dokładnie w tym celu, aby ni popaść w te same błędy i uniknąć tych pułapek, jaki mogą nas zaskoczyć, a także by dostrzec wyraźniej, dokąd zmierzają tropy czy ślady planu Bożego.

Co można powiedzieć o końcu takiego wieku, jak XX? Ważniejsze dane są tak go obciążające, że nie sposób pokusić się o jakąkolwiek syntezę: w minionym stuleciu wyeksploatowano wiedzę i technikę, zatriumfowała demokracja, ogłoszono prawa czło-

wieka, zakończyły się polityczne (ale nie ekonomiczne!) kolonializmy, rewolucja przemysłowa osiągnęła szczyt i ustąpiła kroku rewolucji telematycznej, kobieta się przebudziła i zdobywa coraz więcej miejsca dla siebie w życiu publicznym i zawodowym, religie zakopały topór wojenny i starają się pracować na rzecz pokoju i współpracy, aby nie być nigdy motywem lub powodem jakiejś konfrontacji.

Był to jednak wiek wojen światowych, ideologii, które złożyły miliony ofiar na ołtarzach nowych bóstw, scjentyzmu, który ogranicza mocno horyzont serca ludzkiego, sprowadzając prawdę do nauki i powodując tym samym olbrzymią pustkę duchową; zdziżalej eksploatacji i skażania natury, bomby atomowej i ludobójstw; pustki moralnej i subiektywizmu etycznego, albowiem ani rewolucja równości (Wschód) nie zrodziła społeczeństwa bardziej sprawiedliwego, ani rewolucja wolności (Zachód) nie zasypała przepaści pomiędzy narodami bogatymi a biednymi: wprost przeciwnie, powiększyła ją, a brak obiektywizmu moralnego spowodował pojawienie się okrutnych przejawów zła w samym sercu najbardziej istotnej komórki życia ludzkiego, jaką jest rodzina: aborcji, rozwodów, eutanazji, zbagatelizowania seksu, różnorodnych „dodatków” (narkotyki, alkohol, seks, rozrywki...) itd.

Był to wiek konsumizmu, który degeneruje kulturę i sprowadza człowieka wraz z jego oczekiwaniami do pożądań, jakie może on zaspokoić; prowadzi do wynaturzenia demokracji na skutek podporządkowania jej pustce etycznej; do politycznych i filozoficznych ateizmów, które zaatakowały i zredukowały w sposób perfidny religię i wiarę, aby — po ostatecznym ich upadku — sprowokować ponowne pojawienie się pierwiastka religijnego, ale w „stanie dzikim”, bez żadnego miarodajnego kryterium: zabobony, astrologia, wróżby, magia, różnego rodzaju gnoza..., a wraz z tym wszystkim sekty zbierające wielkie żniwo. Sekularyzacja wyrzuciła równocześnie Boga i wszelką religijność z życia publicznego, oświadczając, iż są to sprawy całkowicie prywatne, i rodząc w ten sposób narastający wciąż indyferentyzm religijny.

Cała rzeczywistość ludzka jest zawsze dwuznaczna, jednak ta jej ambiwalencja naznaczyła szczególnie mocno kulturę zachodnią w ostatnim stuleciu. Razem z niepodważalnymi zdobyczami mamy więc wyraźne ślady po przebytych chorobach i blizny, jeśli nie otwarte i nie zagojone dotąd jeszcze rany. Ten właśnie paradoks powoduje wielki niesmak całej kultury zachodniej. Jak gdyby wszystko miało równocześnie smak powodzenia i niepowodzenia, jak gdyby zdobycze były zagrożone od wewnątrz, niezdolne do ukazania własnej dobroci i słuszności.

Tak to ujął papież Jan Paweł II, przemawiając w Brukseli 21 maja 1985 roku do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej: „Wieki ostatnie, które ukształtowały współczesną Europę, naznaczone są gwałtowną ekspansją ludzkiej działalności: jesteśmy świadkami przyspieszonego rozwoju nauki i techniki. W tym samym czasie refleksja człowieka nad samym sobą odsłania bogactwa osoby ludzkiej i podstawy życia społecznego. Filozofowie wytyczają nowe drogi aktywności rozumu. Wielcy legiści wracają do podstaw, na których opiera się prawo. Wolność i równość zostają uznane za najważniejsze prawa człowieka. Wszystko to prowadzi do powstawania nowych wizji świata, do rewolucji przemysłowych, do głębokich przeobrażeń w strukturach społecznych. Jednakże nagromadzenie wszelkiego rodzaju bogactw niesie ze sobą bardzo nikły postęp w ich sprawiedliwym podziale. Dochodzą do głosu partykularyzmy narodowe, historię wielkich mocarstw znaczą walki o hegemonię. W tym okresie człowiek ulega oszołomieniu możliwościami postępu, jakie się przed nim otwierają. Racjonalistyczny optymizm, którym napawają go osiągnięte zdobycze, prowadzi do negacji wszelkiego transcendentnego ideału, który umykałby kontroli jego umysłu. Szereg prądów filozoficznych czy ideologicznych usiłuje dyskredytować wiarę, prowadząc do wątpienia o Bogu, które przenosi się na samego człowieka, odbierając mu pełną świadomość racji istnienia. Usiłuje on nadać wartość absolutu potędze człowieka czy dynamizmowi jego historii, lecz konsekwencją tego jest pojawienie się ideologii i systemów politycznych, które krępują wolność człowieka i ograniczają jego wielkoduszność. Praktyczna negacja wielu wartości duchowych sprawia, że człowiek za wszelką cenę poszukuje zadowolenia w sferze emocjonalnej, zapominając o zasadach etycznych. Domaga się wolności i ucieka przed odpowiedzialnością; pragnie zbytku, a jednocześnie nie znajduje sposobu usunięcia panującej obok biedy, głosi powszechną równość, lecz jakże często popada w nietolerancję rasową. A jednocześnie wszystko to, czego domaga się dla siebie i co rzeczywiście może osiągnąć, nie uwalnia współczesnego człowieka od niepokoju, od powątpiewania w sens własnego życia, od nihilizmu”<sup>3</sup>.

Istnieje rozgałęziony mocno korzeń, który jest źródłem kryzysów współczesnej kultury, narastającej wciąż obecności relatywistycznego sceptycyzmu i swego rodzaju zmęczenia, niezdolności do twórczości, do otwierania nowych horyzontów. Dwuzna-

<sup>3</sup> Jan Paweł II w krajach Beneluksu, 11 V 1985 — 21 V 1985, i w Lichtensteine, 8 IX 1985. Przemówienia i homilie, Warszawa (Pax) 1987, s. 335-336.

czność ta jest owocem *złego usytuowania* dwóch linii mocy, na których spoczął cały kulturowy projekt współczesności: rozumu i wolności. Ułożyły się one w ten sposób, że niszczą sam projekt. Ale dwuznaczność ta jest także wynikiem *braku strukturalnego*: słusznie stwierdzenie rangi i godności podmiotu oraz ludzkiej autonomii zostaje skażone subiektywizmem, który czyni go niezdolnym do zintegrowania w sposób adekwatny odmienności, relacji. Człowiek współczesny przeżywa więc swój wymiar relacyjny w formie konfliktowej.

W rzeczy samej bowiem wzorcem racjonalności, który fascynował człowieka oświeconego, był rozum fizyczno-matematyczny, rozum narzędziowy, który dzięki swym znakomitym osiągnięciom praktycznym i jednolitości, jaką posiadał, stał się jedynym kryterium poznania obiektywnego. Jednak taka racjonalność pojmuje tylko fakty, a jest ślepa na cele; umie analizować, ale nie syntetyzować; ustala prawa powszechne i konieczne, ale tylko takie, które nie potrafią dać odpowiedzi a zmienne koleje losu w historycznym stawaniu się człowieka.

I przeciwnie: wolność pojmuje się w sposób subiektywistyczny, pozbawiony wszelkiej normy obiektywnej, jako najwyższą i całkowicie niezależną zdolność do ustalania swych własnych celów. Dlatego też tak pojęty rozum nie służy tej wolności, lecz przeciwnie: stopniowo „polował sobie” na nią, dochodząc w końcu do zanegowania jej własnej egzystencji (właśnie tutaj mamy wszystkie scjentyzmy, które odmawiają człowiekowi jego autentycznej wolności, autonomii, a nawet podmiotowości). Wolność ta bowiem nie ukierunkowywała podmiotu na kierujący nią rozum, który siłą rzeczy stał się zdolny do realizowania przeróżnych rodzajów barbarzyństwa, jak choćby bomba atomowa czy niekontrolowane manipulacje genetyczne.

Owocem tego wszystkiego jest rozbitcie ludzkiego doświadczenia na dwa niedające się pogodzić ze sobą zakresy: rozum, który tylko kontempluje fakty konieczne, pozbawione celowości; wolność, która pragnie zastąpić wszelką konieczność i dąży do wyznaczania sobie własnych celów, chociaż nie otrzymuje żadnych po temu wskazówek od rozumu. Ten nie dający się pogodzić charakter pozytywistycznego rozumu i subiektywistycznej woli uzasadnia dwuznaczność współczesnego projektu.

Z drugiej strony współczesny subiektywizm ukazał swoje konfliktowe nastawienie w odniesieniu do wszystkiego, co go otacza. „Innego” nie rozpoznaje się i nie uznaje w jego odmienności i specyfice, lecz sprowadza do problemu własnych korzyści danej jednostki lub eliminuje, jeśli on przeszkadza. Tym „innym” może

być *przyroda* (nieracjonalnie eksploatowana i wyniszczana); mogą to być *inne kultury lub rasy* (podbite, skolonizowane albo wyniszczone: Europa eksportowała wciąż kulturę opartą na wojnie i dominacji, jak żadna inna cywilizacja), a nawet *Bóg* (daleki, kwestionowany, osądzany i obwieszczany *kulturalnie* jako martwy). Będzie też się rodziła stopniowa hipertrofia podmiotu, który skieruje się w końcu przeciwko samemu człowiekowi.

— Albowiem prometejskie nastawienie, które było pokarmem dla oświeceniowych marzeń o bezwarunkowej wolności, rodzi niewystarczające odniesienie do rzeczywistości, oddając ją przy tym całkowicie na służbę swych własnych interesów, uniemożliwiając twórcze i integrujące działanie jednostki w odniesieniu do tego, cą ją otacza.

Albowiem specyfiką rozumu narzędziowego, rozumu „urzęcowiającego” (M. Horkheimer) jest ujmowanie relacji człowieka z rzeczywistością w terminach dominacji, posiadania, władzy (poprzez wykorzystywanie podejścia do rozumu jako narzędzia służącego dominowaniu). Tymczasem taki sposób relacji, który może dobrze funkcjonować w zakresie techniki, sztucznego świata ludzkiego, jest niedopuszczalny w zakresie przyrody, natury; jest bezowocny i niszczycielski w dziedzinie ludzkich odniesień; jest niemożliwy w odniesieniu do Boga, gdyż rodzi postawę konfliktową, dylematyczną.

— Albowiem słuszna afirmacja podmiotu, taka, jakiej dokonano, zablokuje ludzkie powołanie do bycia osobą, sprowadzając ponownie człowieka do rangi jednostki. A to jest bardzo istotne. Człowiek jest bowiem obrazem Boga, powołanym do komunii z Bogiem. Skoro Bóg jest Osobami-w-Komunii, to człowiek jest powołany do bycia osobą, do bycia osobą jako komunią. Wspólne położenie, identyczna sytuacja poszczególnych jednostek stanowi punkt wyjścia, którego celem i kresem jest osoba, osoba, w której indywidualność zostaje wprawdzie zachowana, ale się ubogaca i dojrzewa w relacji, jaka ją uosabia. Jeżeli to się nie urzeczywistnia, jednostka pogrąża się w samotności, samotności straszliwej, gdyż jej powołaniem jest stać się osobą!

Albowiem, z podanych wyżej przyczyn, afirmacja podmiotu, która tak bardzo się rozwinęła na Zachodzie i przyczyniła niewątpliwie do autentycznego postępu w rozumieniu i dowartościowaniu człowieka (godność, wolność, prawa ludzkie...), nie osiągnęła jeszcze wymiaru osoby i zespała się wciąż z jednostką, indywiduum. Konsekwencją tego jest fakt, że radykalnie pozytywny impuls, który zmierza ku osobie, kieruje się do jednostki i jej mechanizmów samopotwierdzenia (nikogo nie potrzebując, aby być



szczęśliwym; żądze i namiętności osiągają wymiar absolutny: władza, przyjemność, prestiż), a porządek społeczny staje się konfliktowy, gdyż konfrontacja jednostek stanowi regułę postępowania. Aby tego uniknąć, ustala się pewien *modus vivendi* (umowa społeczna) i określone normy postępowania (tolerancja prowadząca nie tyle do autentycznego poszanowania odrębności, co do zubożenia na wszelkie wartości) mające zapewnić trudną równowagę, albowiem opiera się ona na rozbijającym jedność i komunie działaniu jednostki zamkniętej w sobie samej.

Ta ogólna, bardzo skrótowa i zdecydowanie negatywna analiza ma jedynie służyć pomocą do ukazania charakteru znaku, jaki chcemy przyznać niektórym danym. Tak, albowiem pośród tych dwuznacznych danych pojawia się zupełnie nowa świadomość: ekologiczna, pokojowa (dążenie do pokoju, do rozbrojenia itd.), solidarnościowa — także w dziedzinie zbliżenia i współpracy wielkich religii świata — która wskazuje wyraźnie na zerwanie, przynajmniej zaczątkowe, z tymi błędnymi kluczami, jakie naznaczały tak boleśnie okrucieństwa XX wieku. Poszukuje się nowej „pojednanej” relacji z przyrodą, z innymi ludami, a także z Bogiem. Docierają również do nas inne pozytywne dążenia, dające przynajmniej nadzieję na rozpoczynające się nowe stulecie, głównie dlatego, że są zbieżne z rzeczywistością, która rozrasta się gigantycznie, zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu, zdając się określać cały horyzont na nowe stulecie. Mam tutaj na myśli nowe magiczne słowo: globalizacja. Tym bowiem pojęciem obejmuje się całą serię zjawisk specyfikujących nasze społeczeństwa w ostatnich dwudziestu latach:

— *Rozpowszechnienie się pluralizmu.* Społeczeństwa zachodnie przeobraziły się w tygiel wielorasowy, wielokulturowy, wieloreligijny, głównie na skutek emigracji, mobilności społecznej, uciekinierów, małżeństw mieszanych itp. Sytuacja ta stanowi coś zgoła nowego,

\* albowiem zmieniają się klasyczne parametry współżycia, a zwyczajne współrzędne, które kierowały naszym postępowaniem, zostają ograniczone lub stają się niemożliwe do zrealizowania w tych nowych sytuacjach,

\* natomiast kultury, które dotąd były poniekąd wzajemnie nieprzenikalne (jak choćby kultura islamska i chrześcijańska), obciążone wieloma oskarżeniami i zarzutami, czują się zobowiązane współżyć ze sobą i popierać się nawzajem: trzeba prowadzić dialog, być kreatywnym, mieć inne punkty odniesienia.

\* To samo dzieje się z religiami: jeżeli w tym samym mieście współistnieją kościoły chrześcijańskie, meczety i świątynie bud-

dyjskie, to nie możemy tam żyć nadal tak, jak gdyby ci inni nie istnieli, ponieważ wszyscy mamy te same problemy.

— *Sytuacja wzrastającej planetaryzacji.* Mówi się o globalizacji na wszystkich poziomach: ekonomicznym, kulturalnym, politycznym. Przejawia się ona jako:

\* *Nieustanne komplikowanie się problemów.* Nie ma już ludzi dobrych i złych, ani po prostu: prawicy i lewicy. Nie ma prostych rozwiązań. Poszczególne sprawy mają wiele różnych odgałęzień, nieprzewidywalnych konsekwencji, zwolenników i przeciwników, albowiem mają zawsze wydźwięk planetarny.

\* *Wzrastająca współzależność.* Dostrzega się ją w ekonomii (giełdy światowe, kryzysy na tych giełdach itd.), w kulturze, w ekologii, polityce: nacjonalistyczne zasady, które dominowały przez wieki, jak choćby niepodległość państw i narodów żyjących na własnej ziemi, szacunek dla własnego rządu lub nienaruszalność granic, zostają przezwyciężone na skutek zmian historycznych: wielonarodowość, działania humanitarne itp. Żaden naród nie jest bowiem w stanie przeżyć dłuższy czas w izolacji. Odważyłbym się nawet powiedzieć, że do upadku muru berlińskiego przyczynił się bardziej proces globalizacji niż cokolwiek innego.

\* *Świat zdąża zdecydowanie do jedności:* opiekuńcza (!?) rola ONZ, globalna sieć internetowa i wyraźny rozwój różnych środków przekazu, coraz liczniejsze organizacje międzynarodowe, rynki światowe, ekologia o wymiarach ogólnoswiatowych.

Sytuacja ta stwarza nowe napięcia:

\* *Napięcie ogólno-szczegółowe.* Globalizacja powoduje reakcje obronne, zmierzające do zachowania odrębności i swych specyficznych właściwości: narodowych, tradycyjnych, kulturowych, religijnych — ze strachu przed wchłonięciem przez dominującą kulturę inwazyjną; ze strachu przed wyrównaniem różnic i sprowadzeniem ich do zubożającego wszystko uniformizmu. Pojawiają się wszędzie dialektyki: narodowe, reakcyjno-rasistowskie, plemienne. Dostrzega się silne domaganie się przestrzegania praw mniejszościowych wobec zalewu obcej kultury.

\* *Napięcie tożsamościowo-różnicujące.* Chociaż przeważa ideał współżycia międzyplemiennego, to jednak sama obecność wielu innych ras i kultur jawi się na ogół jako poważne zagrożenie własnej tożsamości, gdyż wymaga otwarcia się na coś, do czego nie jesteśmy przyzwyczajeni. Skoro zaś nie wystarcza zwyczajna tolerancja, odczuwa się brak akceptacji odmienności jako odmienności. I to obustronnie.

Prawdziwe wyzwanie stanowi umiejętność pogodzenia jedności z wielością. Żyjemy w sytuacji nieuchronnie pogłębiającego się pluralizmu, a zarazem bezwzględnej konieczności współistnienia i współgrania z faktem współzależności.

\* Napięcie *idealno-realne*. Mam tu na uwadze niekwestionowany fakt, że chociaż wielu przyjmuje te nowe linie jako miarodajny ideał, to jednak współczesna kultura zachodnia jest w znacznej mierze przeciwna postawom, wartościom i opcjom, jakie się kształtują w celu rozwinięcia tych nowych linii. Typowy dla postmodernizmu indywidualizm materialistyczny i relatywistyczny, który nie ufa rozumowi, a promuje doświadczenie, nie interesuje się tym, co społeczne, lecz ucieka w sferę prywatną oraz zależy tak bardzo od konsumpcji, dobrobytu, powodzenia, nie stanowi raczej odpowiedniej podstawy do dawania odpowiedzi na poziomie tych problemów, które wznoszą się tak bardzo wysoko.

Tym zaś, czego globalizacja zdaje się wymagać, jest „zmiana paradygmatu”, jak to określają uczeni, mając na myśli radykalną zmianę klasycznego sposobu rozumienia ludzkich odniesień. Nie wystarcza samo uczenie się tolerancji lub poszanowania innych zwyczajów, ras, stylów życia czy wierzeń. Narastające wciąż pomieszanie i współzależność wymagają umiejętności artykułowania, „tworzenia systemu”, a więc koordynowania różnorodności w celu odkrycia wspólnego sensu i znaczenia, które pozwolą ludziom wzrastać wspólnie w kierunku czegoś nowego.

Tak oto zarysowuje się horyzont, na którym jedyna adekwatna odpowiedź na konieczność zespolenia jedności z wielością opierałaby się na komunii. Jedyną relacją, która może dopomóc przezwyciężyć uprzedzenia, jedynym dialogiem, który pomaga wzrastać, są relacja i dialog oparte na integralnym wzajemnym darze. Nie wystarcza zatem bierność polegająca na dawaniu odpowiedniej przestrzeni, lecz konieczna jest aktywność wydawania, przyjmowania, rozumienia.

Natomiast kluczem do odczytywania, który przemienia te tendencje i ten fakt w znak czasów, jest przeobrażanie się tego wymogu jedności i komunii w różnorodności w znakomitą okazję dla Kościoła. Kościół może z powodzeniem dokonywać tego przeobrażenia, albowiem jest ekspertem w jedności. Rodzi się sam z procesu jedności: pojednania człowieka z Bogiem w paschalnej tajemnicy Chrystusa. Żyje Bogiem jedności, Duchem Świętym, Więzią jedności Ojca i Syna, która — oddana całkowicie Kościołowi — tworzy wciąż na nowo jedność, tylekroć naruszana i zrywana. Powołaniem Kościoła jest być znakiem i narzędziem jedności ludzi z Bogiem i między sobą (por. KK 1). Kościół odznacza

się także mądrością, która pochodzi od Trójcy Świętej i może być wielkim światłem dla rozwiązywania nowych dylematów, jakie nasuwa globalizacja, poczynając od kwestii pogodzenia wymiaru politycznego z wielością kultur, poprzez wyzwanie, jakim jest współżycie między rasami, religiami i różnorodnymi kulturami, wyzwanie, jakim są nowe role mężczyzny i kobiety w społeczeństwie, które można właściwie ustawić jedynie na podstawie ich komplementarnej wzajemności, po problemy związane z olbrzymimi nierównościami pomiędzy Północą a Południem.

W Chrystusie ukrzyżowanym znajdujemy drogę i decydujące kryterium, aby przyjmować i leczyć rany, blizny, błędne drogi kultury, ten olbrzymi ciężar historii zaprzeczeń. Jeżeli podstawą odniesień pomiędzy mężczyzną i niewiastą jest ich odniesienie do Boga, to czy pracą nad właściwymi relacjami międzyludzkimi nie będzie droga prowadząca do odzyskania Boga, który jest Komunią? Czy drogą mogącą powstrzymać zdążanie do zagrażającej światu rewolucji nie będzie droga wzajemnego braterstwa?

Jeżeli chrześcijaństwo było niegdyś zdolne ożywić na nowo pogańskie imperium rzymskie, to dlaczego nie miałoby być zdolne do czegoś podobnego również dzisiaj lub w najbliższej przyszłości? Konieczne jest tylko jedno: aby ono samo było wierne tajemnicy, która się w nim zawiera by się nie lękało nawet takiej kultury, która wydała na śmierć Chrystusa, i by się poświęcało z całą pasją dialogowi, poszukiwaniu jedności. Jeżeli — jak już powiedziano — „solidarność jest nową nazwą pokoju”, to należy obecnie wraz z Janem Pawłem II stwierdzić, że „dialog jest nową nazwą misji ewangelizacyjnej”.

Kiedy ostatni papież zwiastowali nadejście cywilizacji miłości, zwracali — jak sądzę — uwagę także na podobne odczytywanie znaków czasu, odrzucając stanowczo wszelkie milenaryzmy.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC